

Grzegorz Hybiak

Stowarzyszenie ANIOŁÓW



Grzegorz Hybiak

STOWARZYSZENIE ANIOŁÓW

© Copyright by
Grzegorz Hybiak 2007 & e-bookowo

StowarzyszenieAniolow@wp.pl

Projekt okładki:
Anna Maria Łuczkowska

ISBN 978-83-7859-170-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

**Wszelkie podobieństwa
do prawdziwych wydarzeń
i osób są przypadkowe.**

Dla tych, którzy chcą coś zmienić...

Część pierwsza

Spotkanie

Kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy, sprawiał wrażenie zagubionego turysty, który trzyma w dłoniach stary, zdezaktualizowany przewodnik, napisany w obcym, nieznanym języku.

Na jego miłej twarzy rysował się delikatny uśmiech, a w przerażonych ciemnych oczach można było dostrzec iskry cierpienia. Był przystojnym mężczyzną około trzydziestki. Krótko przyszyżone czarne włosy nadawały mu dynamiczny wygląd. Znoszone dzinsy i stara skórzana kurtka delikatnie wyciszały promieniującą spod nich energię, i wyjątkową charyzmę tego człowieka.

Każdego dnia mijamy dziesiątki, a czasami nawet setki obojętnych nam ludzi. Jednak na kogoś, kto odmieni nasze życie możemy nie trafić nigdy...

Widok z okna knajpki, do której wpadałem od kilku miesięcy na lunch w czasie pracy, rozciągał się na dość gwarną uliczkę oraz przylegające do niej sklepy i kamienice. Bardzo lubiłem tu przychodzić – to było takie relaksujące.

Z przyjemnością opuszczałem na godzinkę moje biuro, którego miałem już od dłuższego czasu serdecznie dosyć, i oddawałem się drobnym uciechom kulinarnym. Jednak

najbardziej przypadł mi do gustu widok z restauracyjnego okna – ludzie – mężczyźni i kobiety, dorośli i dzieci, brzydcy i piękni, szczęśliwi i smutni, tak wiele różnych światów na jednej małej ulicy...

I właśnie tamtego piątkowego popołudnia, kiedy zjadłem kolejnego pysznego tosta z szynką i serem, przed oknem mojej ulubionej knajpki pojawił się on – człowiek, który zmienił moje życie.

*

– Dzień dobry! – zwrócił się do mnie dźwięcznym głosem.

– Dzień dobry! W czym mogę pomóc? – odparłem nie kryjąc zdziwienia.

– Może wyda się to panu dziwne, ale przyszedłem właśnie do pana.

„Do mnie? – pomyślałem. – Nie dawałem ogłoszenia w dziale szukam kumpla...”

– Czy my się znamy? – zapytałem.

Nieznajomy rozejrzał się dookoła, po czym skierował swój wzrok prosto w moje pytające oczy. Delikatnym ruchem prawej ręki chwycił stojące przy stoliku drewniane krzesło, na którym powoli usiadł. Oparł się wygodnie o blat stołu i stonowanym, pewnym siebie głosem zaczął mówić:

– Widzi pan, Pan Bóg kiedyś stworzył ten świat, stworzył wszystko, co nas otacza. Stworzył Adama i Ewę. Dał ludziom wolną wolę. Pozwolił współistnieć dobru i złu, miłości i nienawiści. Obdarzył nas życiem, ale zesłał nam również śmierć.

– Bardzo ciekawie pan opowiada, ale co to ma wspólnego ze mną?

– Jest pan częścią tego świata, chcąc nie chcąc uczestniczy pan we wszystkim, co się na nim dzieje...

Ukradkiem zerknąłem na zegarek, powinienem być już w swoim biurze i zaczynałem się niecierpliwic. Miałem przed sobą jeszcze masę pracy, nie chciałem niczego zawalić, a wieczorem czekało mnie spotkanie z przyjaciółmi. Nie miałem ochoty na pogawędkę o swoim istnieniu, zwłaszcza w czasie pracy. Nie chciałem jednak być niegrzeczny. Poprosiłem kelnerkę o kawę dla nieznanego i herbatę dla siebie. Miłe spojrzenie uśmiechniętej kelnerki trochę mnie rozluźniło – była naprawdę wyjątkową dziewczyną. „Aż żal, że to zawsze inni mają te najlepsze dziewczyny” – pomyślałem.

– Myśli pan, że kiedy sprzedaję powierzchnię reklamową w regionalnej gazetce mam wpływ na losy prześladowanych ludzi, żyjących na drugiej półkuli? – zagadnąłem nieznanego z powątpiewaniem.

– Poniekąd – odparł z ironicznym uśmiechem – ograniczając się tylko do tego, co pan w tej chwili robi nie może pan nikomu w kłopotach, nie przyczynia się pan również do zwiększenia ich rozmiarów. Jednak bierność nie jest powodem do dumy. Nie robiąc niczego nie walczy pan ze złem, nie przeszkadza pan oprawcom w ciemieniu niewinnych ofiar. To tak, jakby pomagał pan złu.

Nieznanomy dolał do swojej kawy odrobinę śmietanki, wziął łyżeczkę i zaczął powoli mieszać zawartość filiżanki. Następnie podniósł zamyślony wzrok i ponownie zaczął mówić:

– Nazywam się Albert Solski, jestem założycielem Stowarzyszenia Aniołów. – teraz ja utkwilem w nieznanym swoje badawcze spojrzenie. „Ktoś sobie ze mnie żartuje? Anioł! Też coś...” – pomyślałem.

Tymczasem nieznanomy kontynuował:

– Jesteśmy tajną organizacją, która została powołana

do walki ze złem. Działamy od dziewięciu lat. Pomagamy ludziom na całym świecie. Staramy się być wszędzie tam, gdzie ktoś cierpi. Nie interesują nas układy polityczne, ustrojowe czy religijne państw. Ludzie wszędzie są tacy sami – niezależnie od koloru skóry, wyznania czy przekonania – wszyscy cierpią tak samo. Jesteśmy po to, aby niszczyć zło, aby dać ludziom szansę na szczęście i miłość, aby dawać dobro. Jesteśmy Aniołami...

Kiedy skończył nie wiedziałem, co powiedzieć, nie wiedziałem jak się zachować, gdzie spojrzeć, gdzie podziąć sparaliżowane dłonie, czy siedzieć dalej przy stoliku, czy wstać i wybiec na ulicę...? Siedziałem w bezruchu i analizowałem po kolei każde wypowiedziane słowo nieznanego. Próbowałem jakoś sobie wytłumaczyć wszystko, co usłyszałem. W końcu ocknąłem się – przede mną stała kelnerka – nieznanego już nie było.

Koperta

– Była u ciebie jakaś nowa klientka! – już przy samych drzwiach oznajmił mi Wiktor.

– No, niezła była! – z dziwnym grymasem na twarzy potwierdził to wydarzenie Leon.

Moi koledzy zawsze niezdrowo podniecali się odwiedzinami klientek, była to jedna z naszych najlepszych rozrywek w czasie pracy.

Wiktor był jednym z moich najlepszych kumpli, choć nasze kontakty ograniczały się tylko do sfery zawodowej, zawsze mogłem na niego liczyć i podzielić się opinią na każdy temat. Był kawalerem, jak dotąd nie udało mu się związać na stałe z żadną kobietą, co sprawiało, że czuł się

na starszego niż naprawdę był.

Leon natomiast był firmowym ogierem – przynajmniej w teorii – co czyniło z niego prawdziwego mężczyznę. Miał ładną żonę, córkę i pełen dom zwierzątek, z których każde prócz niego było płci żeńskiej.

Wiktor wszedł do mojego biura, zamknął za sobą drzwi tak, aby nikt niczego nie mógł usłyszeć, podszedł do mnie na odległość stopy, po czym wyciągnął z kieszeni kopertę, którą natychmiast mi przekazał.

– Robercie – powiedział ściszym głosem – ta klientka chciała rozmawiać tylko z tobą, nie powiedziała nawet, kim jest. Była wyjątkowo tajemnicza. Nie potrafiłbym nawet jej opisać. Mogę ci tylko powiedzieć, że była niczym anioł...

– No nie, Wiktor! Proszę cię! Tylko nie anioł! Dwa anioły w ciągu jednego dnia to zbyt wiele jak na zwykłego człowieka – miałem ochotę się roześmiać. Zaczynało mnie to naprawdę bawić, jednak widok, jaki przedstawiał sobą Wiktor skłaniał raczej do płaczu. Był cały spięty, miał wyschnięte wargi i zagubione spojrzenie, a wyraz jego twarzy przypominał znak zapytania...

– Jakie dwa anioły? – spytał

– Wyobraź sobie, że miałem już dzisiaj przyjemność spotkać jednego anioła. Tyle, że tamten był mężczyzną – beztraska z jaką to powiedziałem do reszty wytrąciła z równowagi Wiktora.

– Ale ta kobieta była naprawdę jak anioł: piękna, silna i taka, no sam nie wiem...

– Zaraz się dowiemy, co to za anioł, mamy przecież list – stwierdziłem z zadowoleniem.

– Mimo wszystko wolałbym abyś sam go przeczytał, muszę wracać do pracy, pogadamy później – i Wiktor szybko opuścił moje biuro.

Tymczasem ja również wróciłem do moich obowiązków. Miałem naprawdę dużo pracy, chciałem jak najszybciej się z tym uporać i zacząć wreszcie weekend.

*

Weekend zaczął się wyjątkowo sympatycznie. Po powrocie z pracy wziąłem relaksującą kąpiel. Gorąca woda wyciągnęła ze mnie całe zmęczenie i pomogła rozluźnić zeszywniałe ciało – nie miałem już czasu ani chęci na ćwiczenia fizyczne i medytację, które zwykle pomagają mi dojść do siebie, i odzyskać siły.

Wraz ze spływającymi po mojej skórze kroplami potu wróciły wspomnienia z całego dnia – niezwykle spotkanie z nieznanym i wizyta kobiety anioła.

– Właśnie, przecież miałem sprawdzić, co jest w kopercie, którą zostawiła dla mnie ta tajemnicza kobieta – powiedziałem sam do siebie.

Już czwarty rok mieszkalem sam. Od czasu rozvodu byłem samotny, co zaczynało coraz bardziej mnie nudzić. Dlatego czasami prowadziłem monologi – to naprawdę pomaga, można mówić do siebie, do czyjegoś zdjęcia, można pogadać z maskotką, z kwiatkiem, z kim chcesz i o czym chcesz.

– Koperta, koperta, o jest.

Schowałem ją w kieszeni kurtki i zadzwoniłem po taksówkę.

Kilka minut później wchodziłem do przytulnego pubu, w którym spotykali się moi znajomi. Wszystko wyglądało tak jak zwykle: okrągłe stoliki z ciemnego połyskującego drewna, wygodne siedziska, nastrojowe oświetlenie nad głowami rozbawionych gości, obrazki na ścianach w kolorze ochry. Do uszu docierały niezapomniane przeboje

Franka Sinatry – ten pub miał swój wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju klimat. To też wszyscy bawili się wspólnie: dziesiątki dowcipów, salwy śmiechów, krzyki i piski dziewczyn. Czego więcej potrzeba...?

Jednak w mojej głowie coraz mocniej rozwijała się świadomość tego, co usłyszałem dzisiejszego popołudnia, świadomość tego, co uzmysłowił mi nieznajomy. Nie mogłem się dobrze bawić.

Poderwałem się jak oparzony. Skierowałem się do toalety, zatrzasnąłem za sobą drzwi i gwałtownym ruchem sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni kurtki. W kieszeni była przesyłka od tajemniczej kobiety anioła.

Wyciągnąłem kopertę, przez chwilę zastanawiałem się, czy na pewno chcę ją otworzyć...

Moje ręce drżały jakbym miał „Parkinsona”. Serce waliło jak młot pneumatyczny, na plecach poczułem strużkę zimnego potu, robiło mi się na zmianę zimno i gorąco.

Otworzyłem kopertę...

*

Po powrocie do domu zaparzyłem sobie herbatę i zasiadłem wygodnie w moim jedynym fotelu. Większość wieczorów spędzałem właśnie w nim, oddając się lekturze starannie wyszukiwanych książek. To było moje drugie życie – otwierając książkę otwierałem drzwi do innego świata, do innej rzeczywistości... Przechodziłem do innego wymiaru. Przenosiłem się w inne czasy, stawałem się innym człowiekiem. Poznawałem inne życie i uczyłem się odmiennego postrzegania tego prawdziwego. To wszystko pomagało mi zrozumieć prawdziwe wartości i cnoty.

Tym razem nie wziąłem do ręki żadnej książki. Moją głowę pochłaniały myśli. Szare komórki zmagaly się

z gigantyczną pracą. Szukałem odpowiedzi. Teraz mogłem otworzyć drzwi do innego świata nie dotykając książki. Problem stanowiła jednak drobna różnica – z tej podróży nie było powrotu. Decydując się na propozycję Stowarzyszenia Aniołów nie mogłem przerwać lektury w wybranym przez siebie momencie, nie mogłem odłożyć jej na później albo całkowicie z niej zrezygnować. Przekraczając próg tej przygody musiałem być zdecydowany na poniesienie wszelkich konsekwencji i podjęcie wielkich wyrzeczeń. Musiałem być również w pełni świadomy, że nikt nie zna jej zakończenia, gdyż autor nie dokończył jeszcze dzieła.

Jeszcze raz odczytałem wiadomość od kobiety anioła:

Panie Robercie,

W chwili dostarczenia tego listu przysłuchiwał się Pan niecodziennym opowieściom pewnego nieznanego.

Doskonale zdaję sobie sprawę, że spotkanie, którego był Pan uczestnikiem mogło wzbudzić w Panu różnego rodzaju emocje. Spotkanie, o którym mowa, było wynikiem długiej i wnikliwej obserwacji Pańskiej osoby. Decyzję o ewentualnym przyjęciu Pana do naszego stowarzyszenia podjęto z ogromną satysfakcją.

Pragnę jednak zwrócić Pańską uwagę na wyjątkowo poważny i odpowiedzialny charakter naszej działalności, niosącej z sobą wiele niebezpieczeństw i bardzo duże ryzyko z narażeniem zdrowia i życia włącznie.

Ma Pan pięć dni na podjęcie decyzji.

Jeśli podejmie Pan wyzwanie spotkamy się w środę o 20.00 w Pana ulubionym lokalu.

Z wyrazami szacunku

Albert Solski

Stowarzyszenie Aniołów

Tej nocy nie zmrzyłem oczu. Brałem wszystkie za i przeciw, analizowałem wszystko z każdej strony. Na szale przeciw wielkiej niewiadomej musiałem położyć moje dotychczasowe życie.

– No dobrze – powiedziałem sam do siebie – co my tu mamy panie Robercie? Podniosłem notes, który leżał pod szklaną ławą, wśród ostatnich wydań najczęściej czytanych przeze mnie kolorowych czasopism. Wymieniając przy okazji spojrzenie ze ślicznotką uśmiechającą się do mnie z okładki jednego z nich, otworzyłem go i zacząłem rachunek sumienia.

W rubryce „do stracenia ” wpisałem: spokojne życie, stała dobra praca, własny dom, samochód, czas na rozrywkę; książkę, kino, sport, czasem wyjście do pubu; spokojny sen, kilku dobrych znajomych.

– Teraz czas na porażki – znowu burknąłem do siebie – i zacząłem wypisywać dalej: nieudane małżeństwo, brak dzieci, cztery lata samotności, niespłacone długi, niezrealizowane marzenia...

– Po co ja w ogóle żyję? – zapytałem ze zdziwieniem. – Po co właściwie codziennie rano wstaję i idę do pracy? Po to, żeby zrobić przyjemność szefowi? Bo sobie chyba nie... – z żalem stwierdziłem.

Miałem 35 lat. Z mojego rachunku sumienia wynikało, że w moim życiu tak naprawdę nic się nie działo. Nie było kogoś, komu mógłbym zadedykować każdy dzień swojego życia. Nie było w nim niczego naprawdę wartościowego.

Kiedy pierwsze niecierpliwe promienie porannego słońca rozświetlały czarne niebo tej długiej nocy, moje myśli również zostały oświecone, już wiedziałem, że w moim życiu nie było żadnego celu, żyłem tylko dla siebie...

Diana

– Halo, tak, przy telefonie... O, witam! Tak, przypominam sobie. Będę tam za 40 minut. Do zobaczenia.

Nad ranem musiałem się troszkę zdrzemnąć. Kiedy zadzwonił telefon tkwiłem wciąż w fotelu – nie bardzo wiedziałem gdzie jestem i skąd się tam wziąłem. Zanim podniosłem słuchawkę aparatu, naprędce wypłatałem się z trudnej do opisanego pozycji i odchrząknąłem kilka razy, aby odzyskać prawdziwą barwę głosu. Potrząsnąłem energicznie głową, spojrzałem mętym wzrokiem zaspanych oczu na zegarek. Wskazówki pokazywały piątą trzydzieści. „Telefon o tej godzinie? Ktoś zwariował?” – pytałem w myślach.

To była koleżanka mojej przyjaciółki. Obydwie mieszkają od kilku lat w Londynie. Karolina wspominała mi wcześniej, że jej koleżanka wybiera się po raz pierwszy w życiu do Krakowa. Dlatego prosiła o pomoc. Nie mogłem odmówić, zwłaszcza, że – jak wynikało z opowieści Karoliny – koleżanka była wyjątkowo miłą osobą.

Nie tracąc cennego czasu doprowadziłem się do względnego porządku i 40 minut później byłem już na lotnisku.

Widok, jaki tam zobaczyłem zrekompensował mi całą bezsenność noc i przepędził resztki zmęczenia. Moja sylwetka nagle wyprostowała się – urosłem jakby mnie ktoś nadmuchał – kroki stały się energiczne, a na twarzy pojawił się obezwładniający uśmiech. W lotniskowej kawiarni, przy jednym z wielu stolików siedziała jedyna w tej chwili kobieta, która nadawała klimat całemu pomieszczeniu.

Urządzona w nowoczesnym, prostym stylu kawiarnia, ziębiąca swoim metalowym charakterem, teraz stała się przytulnym zakątkiem, przywołującym najmiłsze uczucia.

Za sprawą uroczego spojrzenia i promiennego uśmiechu, namalowanego na ślicznej twarzy tej czarującej ko-

biety, można było zapomnieć o wszystkich zmartwieniach tego świata, i przekonać się, że Niebo naprawdę istnieje.

Toteż nogi mimowolnie, niczym zaczarowane, same zaprowadziły mnie do odpowiedniego stolika.

– Bardzo przepraszam, czy Pani Diana? – spytałem zatrzymując się przed obliczem kobiety.

– Tak, Diana Kamińska. Robert? – Diana wynurzyła się z za stolika, wyciągnęła do mnie prawą dłoń i obdarzyła szerokim, wspaniałym uśmiechem. Moim oczom ukazała się teraz jej wysmukła sylwetka. Opięte dzinsy podkreślały jej kształtne biodra i długie zgrabne nogi. Pod białą bluzką falowały krągłe piersi, a całość dopełniały proporcjonalne, delikatne ramiona – odpowiedziałem na jej pytanie skinięciem głowy.

– Bardzo mi miło! – rzuciła odchylając lewą ręką spadające na twarz kruczo-czarne włosy.

– Mnie zdecydowanie bardziej – odpowiedziałem nie ukrywając swojego zachwytu.

– Usiądziesz, czy chcesz już jechać? – spytała Diana ciągle się uśmiechając.

– Usiądę... Zwykle nie pijam rano kawy, ale dzisiaj chętnie zrobię wyjątek. Właściwie dzisiaj w ogóle nie spałem, dlatego myślę, że kawa w Twoim cudownym towarzystwie dobrze mi robi – zająłem miejsce naprzeciw Diany i rozejrzałem się za kelnerką.

– Dręczy cię jakieś problemy? Coś się stało? – na jej twarzy pojawiły się oznaki troski.

– Nie, wszystko w porządku, musiałem tylko pewne sprawy dobrze przemyśleć... Ale nie mówmy już o tym. Powiedz lepiej jak Ci minął lot i jaki masz plan na najbliższą przyszłość?

– Trochę się denerwowałam... Nie przepadam za samolotami, a do tego nie mogłam się do ciebie dodzwonić.

Już myślałam, że Karolina podała mi zły numer. Dzwoniłam przed wyjazdem, aby cię uprzedzić, że dziś rano będę na miejscu i nic... – palcem rysowała coś na stoliku.

Miała delikatne, ładne dłonie, paznokcie pomalowane na biało. Nosiła dwa skromne pierścionki ze złota – nie szczególnego, ale właśnie tak było dobrze.

– Późno wróciłem do domu, przykro mi, że przeze mnie się martwiłaś... – powiedziałem to tak, jakbym tłumaczył się zaniedbanej żonie. Chciałem ją w ten sposób troszkę rozbawić i chyba się udało. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem i parsknęła śmiechem...

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym zatrzymać się u ciebie na jakiś miesiąc. Mam tu kilka spraw do załatwienia... Nie wiem czy to w ogóle ma jakiś sens, postanowiłam jednak spróbować. Później wszystko ci wyjaśnię – znowu obdarzyła mnie swym uśmiechem.

– Jasne, nie ma sprawy, możesz tu zostać tak długo jak tylko chcesz – odpowiedziałem dopijając z apetytem resztę przepysznej kawy.

Uregulowałem rachunek, pomogłem Dianie zabrać wszystkie bagaże i zaprowadziłem ją do samochodu.

– Pewnie myślisz sobie: co ta kobieta może ze sobą dźwigać w takich ogromnych walizkach? – wtrąciła Diana, wrzucając z nadludzkim wysiłkiem jedną ze swoich dwóch gigantycznych walizek, do bagażnika mojego Volvo.

– Wcale nie! Zastanawiam się jednak, jak dotarłaś, z tymi dwiema walizkami i bagażem podręcznym dla King Konga do samolotu, i kto cię tam w ogóle wpuścił. Myślę, że jesteś wielką szczęściarą. Z takim bagażem na pokładzie twój samolot nie miał prawa tutaj dolecieć... Jestem też bardzo ciekaw czy mój stary samochód zdoła ruszyć z miejsca z tym ładunkiem?

– Widzę, że masz niezłe poczucie humoru... – stwierdziła z dziwnym wyrazem twarzy. Było to coś pomiędzy

niewinnym uśmiechem, miną mordercy i grymasem zmęczonego staruszka. Wyglądało to naprawdę śmiesznie.

– Dobra, no to startujemy – spojrzałem rozbawiony na Dianę i uruchomiłem silnik. – Zobaczymy jak daleko zajdziemy...?

*

Na miejsce zajechaliśmy oczywiście bez żadnych problemów. Po drodze rozmawialiśmy o Karolinie. Diana opowiedziała mi jak się poznały, mówiła o wspólnych przeżyciach. Dowiedziałem się, jak bardzo są sobie bliskie.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziałem podjeżdżając pod dom. – Mam nadzieję, że ci się spodoba, przez jakiś czas będzie to również twój dom – Diana wysiadła powoli, spoglądając ponad dachem samochodu na jednopiętrowy budynek, zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się dookoła.

– Przyjemne miejsce, masz ładny ogród. Wygląda na to, że wolne chwile spędzasz właśnie tutaj. Lubisz pracę w ogrodzie?

– Kiedyś to była moja pasja, rozmawiałem z każdą rośliną jak z przyjacielem, opiekowałem się nimi jak własnymi dziećmi. To była moja ucieczka i najlepszy azyl... W zamian otrzymywałem cudowne piękno przyrody...

Ogród rzeczywiście był imponujący. Granice terenu strzegły wysokie żywopłoty: od północy rozrastały się ciemnozielone cisy, zachodnią ścianę ogrodu otulały pachnące w maju bzy, zacisze od wschodu zapewniały rozłożyste derenie i kaliny, a południową stronę świata oddzielały obsypane kielichami czerwonych kwiatów piękne waigele. Przed frontową ścianą budynku swą różnorodnością zachwycaly rozmaite gatunki jałowców – od płożących się po ziemi, poprzez formy wzniesione, po stożkowo rosnące olbrzymy, z których każdy odznaczał się innym kolo-

rem i odmiennym kształtem. Drogę do domu wskazywał wijący się pomiędzy kamieniami strumień, który wpadał gwałtownie do porośniętego wodną roślinnością stawu, tworząc w ten sposób malowniczą kaskadę. Umiejscowiony w centralnym punkcie budynek otaczały soczysto zielone trawniki, na których można było spotkać zarówno niewielkie, kolorowo kwitnące klomby jak i olbrzymie, majestatyczne świerki i jodły, w których chowały się radośnie śpiewające ptaki. Całość tworzyła bajeczny zakątek, który łągodził geometryczną bryłę domu i dawał spokój oraz wytchnienie jego mieszkańcom.

– To bardzo wzruszające... – Diana przykucnęła przy rabacie kwitnących wrzośców i zamyśliła się.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Do uszu dochodziły tylko śpiewy ptaków i delikatny szum strumyka, a z od dali dobiegały odgłosy ujadających psów... Postanowiłem przerwać tę magiczną ciszę. Otworzyłem bagażnik i zabrałem się za walizki Diany. Ocknęła się kiedy jej bagaż był już w domu.

– Diano, zapraszam do środka! – poderwała się gwałtownie. Nieobecne spojrzenie szybko ustąpiło miejsca czarującemu uśmiechowi, który przywrócił ją do rzeczywistości.

– Dzięki, już lecę! – rzuciła. I żwawym krokiem podążyła do starych, solidnych drzwi wejściowych mojego domu, które na swój sposób również zapraszały ją do przestąpienia progu.

– Tak naprawdę mieszkam na górze. Tam mam wszystko, czego mi trzeba. Od kiedy wyprowadziła się moja była żona, prawie nie korzystam z parteru – oprowadziłem Dianę po całym domu. Góra i dół były dwoma niezależnymi od siebie mieszkaniami wyposażonymi w osobne kuchnie i łazienki. Obydwa posiadały pokoje gościnne, sypialnie i garderoby. Urządziłem wszystko tak, aby dostosować parter do wynajęcia, a piętro zachować dla siebie, jednak

nigdy nie zdecydowałem się na dzielenie domu z kimś obcym. Ponad wszystko cenilem sobie spokój i niezależność w myśl przysłowia: Mój dom jest moją twierdzą.

– Masz do dyspozycji cały parter. Czuj się tam jak u siebie. Jeśli jednak będziesz chciała mnie odwiedzić na górze, będzie mi bardzo miło. Z przyjemnością poświęcę ci każdą chwilę. Kiedy się rozpakujesz i odpoczniesz po podróży zapraszam na śniadanie. Życzę miłego pobytu...
– zakończyłem powitanie i nie kryjąc radości z goszczenia tak wyjątkowej kobiety, zająrzałem mojej nowej sąsiadce głęboko w oczy.

– Naprawdę bardzo ci dziękuje – odparła wytrzymując moje spojrzenie. Na jej twarzy można było jednak dostrzec pewne zakłopotanie. – Nie wspomniałeś o kosztach mieszkania...

– Diano, nie robię tego dla pieniędzy – teraz ja byłem zakłopotany i wcale nie miałem ochoty tego ukrywać. – Zaproponowałem pomoc ze względu na starą przyjaźń z Karoliną. Nigdy nie wspominałem o kosztach. Zdeklarowałem się do ugoszczenia cię w moim domu i udzielenia wszelkiej możliwej pomocy, na jaką mnie stać. To przysługa w imię przyjaźni. Nie jestem materialistą. A teraz, kiedy cię poznałem z każdą chwilą chciałyby... – przerwałem nagle. W samą porę, bo jeszcze trochę, a powiedziałbym za wiele. Czułem, jak z każdą sekundą rośnie moja sympatia do tej kobiety. Zdawałem sobie sprawę, że Diana nie jest mi już całkiem obojętna – to było idiotyczne. Nie minęły nawet dwie godziny od chwili, kiedy ją poznałem... Zrobiłem głupią minę i zacząłem mówić dalej.

– Postawisz kiedyś obiad, bilet do kina i będziemy kwita. Ok?

– Skoro tak chcesz? Niech tak będzie.

I wtedy zrobiła coś, co sprawiło, że zacząłem tracić głowę...

*